№ 11. Warszawa, dnia 5 (17) Marca 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

POEZYE
MARYI KONOPNICKIEJ.

Serya III.

(Dalszy ciąg.)

Po „Freskach", następuje najliczniejsza bo aż z siedmnastu utworów złożona, grupa „Fragmentów".

Pomimo takiego pozornego rozdrobnienia „fragmenta" te stanowią, jakby jedną całość. Są to niby oddzielne lecz z jednego ogniska tryskające promienie.

Nie wiemy, czy pani Konopnicka pisała je w rozumieniu takiem, zdaje się, iż trudno byłoby inaczej tak spoić jedną myślą przewodnią, jednem ożywić pragnieniem i ku jednej prowadzić idei, fragmenty, pisane różnocześnie i luźno.

Już w pierwszym z tych utworów, zawiera się rodzaj „wstępu" gdzie autorka objaśnia czytelnika, że to co powie dalej będzie „słowem" takiem w którem zawrze się wszystko coby wszystkim wypowiedzieć chciała.

Lecz mówić otwarcie, tak jakby chciała, poetka do nas w tej chwili, nie może, bo...

„Smętność czasów zachodzi jej drogę,
Wiatr chwyta słowa a nocna mgła biała,
Chce rozproszona wpierw być i rozbita,
Nim pieśni wstaną, nim dzień nam zaświta.

Mówi jednakże i to prześlicznym wierszem, a chociaż w drugim z kolei fragmencie staje przed nami jako ofiara fatalności, która nic zdziałać niczego się dotknąć i nigdzie spocząć nie może, bo jest urodzona ze zgrzybiałej matki-ziemi, której „brakło już gliny na dziewicze ciała" więc:

...Z prochów pokoleń, co życie klnąc marły,
Z łez niecschniętych, z krwi świeżej co dymi
. . . . . . Ulepia... karły.

to jednak, pomimo że:

Od własnych myśli i uczuć i woli,
Odwraca głowy z boleścią i wstrętem,
Że... krwawych siewów i cmentarnej roli
Czuje się ziarnem przeklętem.

uczy nas dalej, jak czuć, czego pragnąć i co czynić mamy, bo ostrzega nas wreszcie, że:

„Męże i ludy taki los tu biorą,
Jakiego w sercu uznają się godne,
Wielkością czynu, nie marną pokorą
Dzieje ludzkości są płodne."

W następnym, czwartym fragmencie, silniej to jeszcze poetka wypowiada:

Królestwo swe, nie tym co płaczą, jęczą,
Bóg oddać chce z spokoju jasną tęczą
Lecz tym co śmią przygwałcić je ku ziemi,
Potęgą lwią i czyny ogromnemi.
Przyszłość, to trud. Nie zejdzie ona z nieba
Przez żaden cud — lecz zdobyć ją potrzeba.

Myśl ta a raczej ta dążność wydatna, przewija się, jak śród jedwabiu nić złota, we wszystkich prawie „fragmentach" a w niektórych nawet, uplastyczniają się te czyny, jakich pani Konopnicka od społeczeństwa swego wymaga naprzykład, we fragmencie ósmym i w trzynastym.

Na myśl w tym ostatnim wypowiedzianą jasno, że nic ździałać, z żadnego upadku podnieść się nie zdołamy

„Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału."

Godzimy się z całego serca, chociaż... z pewnem podziwieniem, rozumie się radosnem, że ją nam daje pani Konopnicka... Za to, działania jakie nam w pierwszym, respective 8-ym, wskazuje, nie

uważamy za łatwe a kto wie, czy za możliwe nawet.

Wziąć za rękę chłopskie dziecko, stojące przed nami „w służalczej pokorze“ i wyprowadziwszy je w pole, by tam ciepłem słowem mówić mu o ziemi, którą uprawiać mamy pospołu, o jutrze które z tej ziemi wyorać nam trzeba i o tym kłosie, który zasiewać mamy we wspólnej nadziei... a potem popchnąć to chłopskie dziecię w syna swego ramiona i rzec „wyście braćmi“, wszystko to byłoby dobrze.

Dziś wątpimy bardzo, czyby taka serdecznie poufna rozmowa, przeprowadzić się dała?

Już to pani Konopnicka, której „fragmenta“ „freski“ i wszystkie w ogóle działy zawarte w tej trzeciej seryi, szczerze i gorąco chwalimy, nie ma w sobie widocznie „rzeczywistego“ poczucia ludu i, rzecby można, iż ludowi temu nie przyjrzała się z blizka.

Czytając nawet poezye tej autorki w charakterze ludowym, których i tu w działach „Po rosie“, „Z chaty“ i t. d., spotykamy wiele, pomimo udatnej ich formy i niby czysto wieśniaczego kroju, czujemy że... są to rzeczy raczej z głowy robione niż z natury wzięte.

Dla nas przynajmniej, wygląda to wszystko tak, jak gdyby pani Konopnicka nie otarłszy się nigdy o teraźniejszego chłopa, znała go i pokochała tylko... z poezyi Lenartowicza, które odczuwszy artystycznie... sama z kolei pisze.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Aleksander Półkozic.

DZIEWCZCE.

Spójrz dziewczko, w ten świat ludny:
Ile czaru w sobie ma!
On zdaleka taki cudny...
Szczęściem, prawdą ci się zda.

Takiem okiem nań spoglądaj,
Takim zawsze w sercu noś;
Lecz szczęścia odeń nie żądaj:
Bo sam biedny, biedny wskroś.

Zimną czasem ręką chwyci
Serce, co gorąco drga,
I boleścią cię nasyci,
Gorycz życia wypić da.

Niech mu serce nie pamięta,
Bo to zwykła świata dań;
Lecz wyciągnij doń rączęta,
Z nową spójrz miłością nań!

Z czasem na cię prądy spłyną
Pokus, których pełen świat,
By zabrukać, o dziewczyno,
Białość twych dziewiczych szat.

Gdy nadejdą, ty pierś śmiałą,
W puklerz cichych modłów zbrój;
Wzleć na szczyty świętą, białą.
Śnieżny wdziej gołąbki strój!

I z miłością, z cichą łezką,
Bożych się trzymając dróg,
Przejdziesz przez życie zwycięzko;
W niebie cię uwieńczy Bóg!

S. L. Rembiszewski.

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Urocza pieszczocha, przyzwyczajona od dzieciństwa do hołdów i despotycznego przeprowadzania swych fantazyi, gniewałaby się seryo, gdyby i ta nowość położenia, nie bawiła jej szczerze.

— Oho, mój panie — szepce do siebie cichutko — od niełaski chroni cię tylko ta liberya! Gdybyś miał na sobie coś, choć w zbliżeniu podobnego do fraka, lub innej zwykłej ludzkiej garderoby, spotkałbyś się tu z piękną burzą! miałbyś huragany! błyskawice! nie ręczę nawet za gromy! Tak jak jesteś, nie mogę znęcać się nad tobą, gdyż lękam się, byś zawiele nie cierpiał.

Pomimo tę wielką dobroć serca, dziewczynka, nie odzywa się przecież ani słowem, tym przynajmniej sposobem, starając się dowieść swego niezadowolenia.

Idą więc oboje przy sobie, w milczeniu, przez kawałek rzadko porosłego lasu, aż do kresu gdzie dróżyna zapuszcza się wązkim tunelem w ciemną gęstwinę.

Tutaj Jan zatrzymuje się z koniem, niemym ukłonem przepuszczając pannę naprzód.

Panienka stosuje się i do tej woli towarzysza, lecz trudno jej wytrwać dłużej w przedsięwziętej mocno powadze.

— Czy wiesz pan, że nie należysz wcale do uprzejmych! — rzuca mijając go przez ramię. — Na stu mężczyzn, dziewięćdziesięciu dziewięciu byłoby ze mną zostało w lesie, gdy tego chciałam.

— Będę zawsze tym setnym, czyniącym to, co czynić mu wypada — odpowiada poważnie młody człowiek.

Postępują teraz środkiem niebotycznej kniei, pośród której zupełne panują cienie. Panna Anna nie widzi twarzy swego stangreta, ale spokój jego głosu, rozdrażnia ją.

— Wypada panu przedewszystkiem, stosować się do mej woli! — wymawia bez namysłu.

— Zwracam uwagę pani, iż nie powinnaś zwać mnie panem, gdyż nie odpowiada to stanowisku, jakie zajmuję.

Gdyby nie noc czarna, obejmująca ich dokoła, Jan widziałby purpurowy rumieniec, oblewający twarz dziewczyny, która zatrzymuje się nagle w pochodzie.

— Panie, nie myślałam o tem!... nie chciałam przypomnieć ci tego!... nie przyszło mi do głowy nic podobnego!... — wybucha drżący, rozżalony głosik, wśród egipskich ciemności.

— Nie zatrzymuj się pani, racz iść naprzód! Wiem, że nie myślałaś tego. Ja również, miałem na myśli to tylko, że tytuł, którym mnie darzysz, nie zgodnym jest z umową przez nas zawartą.

Słowa te brzmią równie niewzruszonym spokojem, lecz ucho dziewczynki chwyta w nich tony szczerej prostoty i to uspokaja ją odrazu.

Następuje długa chwila milczącej wędrówki, w czasie której panna Anna ma niemało kłopotu, z unikaniem gałęzi, grożących jej twarzy, a Jan dwa razy tyle z podpieraniem utykającego co chwila konia.

Młodzi ludzie zdają się zupełnie na siebie nie zważać, zajęci oboje troską o osobiste swe bezpieczeństwo.

Okazuje się przecież, że myśli dziewczynki nie daleko odbiegły od milczącego towarzysza, bo dźwięczny jej głosik odzywa się znowu pośród ciszy.

— Nie powinieneś też pan nigdy brać do serca głupstw dziwacznych, które możesz słyszeć często z ust Endymiona. Głowa jego ma do dyspozycyi tak skromny ładunek rozsądku, że oboje uznać go możemy niepoczytalnym! — Przemawia zwykłym, wesołym głosem

— Bądź pani łaskawa uważać na korzenie, których masa sterczy na drodze. Hrabia Endymion ma mnie za prostego sługę, wszystko więc cokolwiekby powiedział, mogę jako taki wysłuchać. Co zaś do mego „ja“ drugiego, o którem nikt nie wie, to jest własne me państwo, do którego nikt wtargnąć nie zdoła ani nic go dosięgnąć.

Dziewczynka uśmiecha się do siebie z głębokiem zadowoleniem.

— Dumny jak szatan! — mówi sobie cichutko.

Długa chwila mozolnego pochodu, potykania o zrąbane pniaki i wysiłków karego, który wygląda, jakby bliżej mu było dojść śmierci, niż żłobu.

— Chciałabym też wiedzieć, czy pan istotnie jesteś człowiekiem? i czy posiadasz jakieśkolwiek ludzkie uczucia? — zapytuje nagle figlarny głosik.

Milczenie.

Panna Anna czeka długo na odpowiedź i przekonuje się, że nie otrzyma jej wcale.

— Opoka!... — rzuca wtedy tragiczny okrzyk w przestrzenie nocy, akcentując go tak świetnie, że milczący stangret, wybucha po raz drugi głośnym śmiechem.

* * *

W Wańkowcach tymczasem o pannę Annę nie bardzo się troszczą. Pojechała z kuzynkiem, jest pod jego opieką, można więc nie kłopotać się o jej bezpieczeństwo. Z mostku nad jeziorem, widziano wyraźnie, jak wolant zawrócił w stronę dębiny, widocznie młoda para zgodziła się odbyć wspólną przejażdżkę, co zresztą nie dziwi nikogo.

Hrabina wspomina coś wprawdzie żartobliwie o zbyt wielkiej żywości Aneczki, zbierając porzucone pod parkanem rękawiczki i parasolik, darzy nawet nieobecną przydomkiem: szalonej głowy, lecz pseudo hrabina, staje gorąco po stronie obwinionej. Według jej zdania, ruchliwość płomiennego temperamentu, stanowi właśnie, główny urok ślicznej jej fawor ytki.

W gruncie rzeczy, obie są szczerze zadowolone z tej wyprawy.

Nieprzewidujący podstępu Endymion, dziś właśnie wyjawił matce miłość swą dla Anny. Ka-

pryśny, despotyczny jak zawsze, oświadczył, iż nie ruszy się z domu krewnych, póki nie zdobędzie sobie ukochanej dziewczyny, z wolą jej, lub bez woli! Obojętność wcale go nie ochładza, raczej rozpłomienia, gdyż opór każdy, budzi w nim zwykle zdwojoną wolę posiadania.

Ubóstwiającej syna kobiecie, ani się marzy, by „mała“ pogardzić mogła seryo jej jedynakiem. Lekceważenie dziewczynki uważa za rozumną taktykę wojenną, której przyklaskuje z uwielbieniem.

Wyprawa we dwoje, zakończy niezawodnie pomyślnie, tak dyplamatycznie przeprowadzone zabiegi, a sprytna cyganeczka, powinna umiéć ściągnąć w porę brzegi złotej siatki, w którą złowiono świetnego ptaka.

Matka druga, zna wprawdzie usposobienie Anny dla natrętnego wielbiciela, lecz liczy jeszcze trochę na urok pięknego chłopca i wielką młodość córki. Wybrali się w świat oboje, wszystko więc może skończyć się jeszcze pomyślnie.

Ogólnego zadowolenia, nie dzieli tylko wcale panna Antonina. Wie ona, iż obecność kuzynka, doprowadza Aneczkę poprostu do rozpaczy. Nie wierzy wcale, by zgodziła się jechać z nim dobrowolnie, a zniknięcie młodej pary z horyzontu, przejmuje ją mimowolnym, nieokreślonym niepokojem.

Powraca do pałacu milcząca i nie może jej rozchmurzyć wesołość otoczenia, ni napływ zjeżdżających się gości.

Pod wieczór, salony pałacu są napełnione. Kilkanaście domów z dalszej i bliższej okolicy, zjechało, korzystając z ostatnich pięknych dni jesiennych, składając towarzystwo niezupełnie dobrane, różnobarwne i różnorodne, gdyż dom hrabiów otwarty jest dla sąsiadów wszystkich, bez różnicy stanowiska lub majątku. Gospodarstwo uważają to za jeden z obywatelskich obowiązków, nie zawsze przyjemny, niekiedy bardzo ciężki, przed którym nie cofają się przecież nigdy, pragnąc dobrym przykładem, wpłynąć na sąsiedzkie stosunki, nieodznaczające się w tym zakątku zbyt budującą harmonią.

Ognista tarcza słońca, kryje się zwolna na skłonie złotawego pola. Z po za kulistego krańca ziemi, odrzynającego się czarno, na tle jasności gorejącego nieba, wystrzela jeszcze przez chwilę półokrągły snop jaskrawych promieni, drgających jak płomienista długa rzęsa olbrzymiego tego oka, oglądającego się z tęsknotą, na podolską senną krainę, ostatniem spojrzeniem. Po chwili wszystko niknie. Na zachodzie pozostaje tylko jak wspomnienie, szeroka czerwona zorza, przechodząca świetną grą barw w ciemny fiolet ku wschodniej stronie niebios.

Na ziemię, spływają przejrzyste, sinawe mroki. Po salonach biega służba, wnosząc płonące lampy i świeczniki, rozmowa się ożywia, w bocznym gabinecie męzka połowa towarzystwa kupi się na partyę wista przy zielonych stolikach, w jadalni pośpiesznie przygotowują podwieczorek, z głównej sali rozpływa wspaniały głos panny Maryi, wykonującej świetnie aryę z „La forza del destino”.

Połowa miękkich, lecz silnych tonów, wybiega oknem otwartem na ogród i tej jest najlepiej, gdyż płynie sobie swobodnie w ciszę wieczora, rozbrzmiewa echem po falach jeziora, ginąc wreszcie w wonnych, wilgotnych rosą przestworach; ta która zostaje w ścianach pałacu, tuła się smutna jak sierota, pośród szmeru półgłośnej rozmowy, cichego szelestu funkcyonujących żwawo wachlarzy i dźwięcznego śmiechu, świadczącego wymownie, iż nikt jch nie słucha.

W salonie na tle perłowego obicia i szafirowego aksamitu mebli, towarzystwo ugrupowało się w mniej więcej malownicze gronka, rozmieszczone w ten wybitnie charakterystyczny sposób, że kilka spojrzeń rzuconych przez uważnego spostrzegacza, przekonałoby go jasno, iż piękne dążenia hrabstwa, do solidaryzowania okolicznych kółek, nie zupełnie dojrzałe wydają owoce.

Na dużej kanapie bliżej okna, wpółzatopiona w zwojach czarnych koronek, umieściła się szczupła postać galicyjskiej cioci, tuż przy boku marszałkowej powiatu, wielce bogatych kształtów damy, imponującej w gronie zwykłych śmiertelników, trzema piętrami wspaniałego podbródka, nieopuszczającym nigdy wiśniowych ust jej papierosem i czwórką córeczek, przybraną dziewiczo w zupełnie równe białe sukienki.

Sielankowa ta czwórka, posiada w powiecie osobną swoją sławę, wypływającą z tajemniczego źródła otaczającego perycdyczne chwile jej urodzin, mgłą nieprzejrzaną. Nie ma bo w okolicy ludzkiego oka, któreby oglądało metryki marszałkówien.

Nie brakło wprawdzie ciekawych, starających się usilnie, o rozwiązanie tej zagadki, lecz najuporczywsze zabiegi rozbijały się o niepodobieństwo. Sam ksiądz kanonik, staruszek wielce szanowany, nie mógł rozjaśnić nieprzejrzanych ciemności. Posiadał wprawdzie księgi kościelne, utrzymywane w własnej kancelaryi w wielkim porządku, lecz gdy jednego roku wyjechał na kuracyę do Marjenbadu, myszy zagnieździwszy się w zamkniętym pokoju, poczyniły mu w papierach ogromne szkody, tak, że wiele z dokumentów bardzo ważnych utracił bezpowrotnie. Żarłoczne te zwierzęta, rzuciły się z dziwnem właśnie łakomstwem na cztery księgi, w których prawdopodobnie mogły się znajdować klucze, do tej tak niepokojącej umysły łamigłówki i jak twierdzą złośliwi, nie podobna nic dowieść. Ważne daty faktów dziejowych, znikły na zawsze w gęstych mrokach dawnej przeszłości. Starsi ludzie mówią wprawdzie. Lecz to są plotki parafialne, któremi nie będziemy się zajmować.

Przejdziemy lepiej do gruntowniejszego zbadania fizyognomii salonu, mającej dla nas wiele więcej interesu.

Sofa przy oknie ma tu w tej chwili znaczenie, równające się mniej więcej powadze stolicy; gromadząc przy sobie kilku przedstawicieli płci obojej miejscowej arystokracyi, zebranych tam w niewielkie, ściśle zamknięte kółko.

Przy drugiej sofie, umieszczonej tuż pod pyszną kopią Corregia, wprost fortepianu i śpiewającej artystki, koło ciężkiego, rzeźbionego stołu, skoncentrowała się sfera średnia. Składa się ona z kilku możnych rodzin szlacheckich, od których odbija dziwnie tęgi, tłusty, bogaty przemysłowiec, osiadły niedawno w starym, półzrujnowanym zamku, nabytym za zrobione na mydle miliony. Po za szerokiemi plecami finansowego herkulesa, kryją się jak kwiatki polne, na uboczu, młody początkujący literat i malarz suchotnik, przybyły w okolicę dla kuracyi na powietrzu i świeżem mleku.

Z drugiej strony za fortepianem i aksamitną portyerą, osłaniającą boczne podwoje, usiadły niższe warstwy, drobna, jednowioskowa rzesza i znaczniejsi dzierżawcy, pod przewodnictwem domowego lekarza, kupiący się ochoczo koło młodego, rumianego wikarego, bawiącego zgromadzenie szczerze jowialnym humorem.

Młodzież stanowi partyę międzynarodową. Pełno jej wszędzie, kręci się po wszystkich kątach, przysiada do każdego obozu i jak zwykle młodości jest jej na świecie najweselej.

Mimo pełnych dobrej chęci, szlachetnych wysiłków gospodarstwa, w atmosferze salonu czuć chłodny powiew mroźnego niezadowolenia.

Przy stopniach tronu, gdy nie słyszy nikt z domowników, krzyżują się wesołe, świetne dowcipy, wyszydzające zlekka, postępowe poglądy tych kochanych, zacnych hrabiów, wpuszczających niepotrzebnie do domu ludzi, z którymi niewiadomo co robić!

Stół środkowy zachowuje się politycznie. Nikt za nic nie przyznałby się głośno, do nurtującej serca, gryzącej goryczy, wywołanej niezbitym faktem, widomego zamykania się w sobie, magnackiego kółka, jak również z karabinową lufą w skroni, nie poniżyłby się nikt ztamtąd do zbliżenia z trzecią kategoryą.

Rozmawia się tam wesoło, swobodnie, udaje zadowolenie, gra komedyę z wytrwałością, godną lepszej sprawy, choć dusze tłoczy ciężar upokorzenia.

Szary koniec wydaje z swego łona jawnych malkontentów. Podnoszą się tam głosy twierdzące szczerze, że wiele lepiej bawiono się przed tygodniem na proboszcza imieninach, a nawet na dożynkach, wyprawianych niedawno w Wilczej-Łapie!...

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

W miesięcznej kroniczce, którą dziś wyprawiamy, czytelnicy nasi zamiast szczegółów z życia paryzkiego, znajdą skreślony obraz życia w dalekim Bostonie, na przeciwnej świata półkuli. W tej chwili właśnie otrzymujemy ztamtąd list naszej utalentowanej artystki, panny Kazimiry Dziekońskiej. Ciekawy ten list pokazuje, że rodaczka nasza umie zarówno malować słowem jak i pędzlem odebrane wrażenia i określić wybornie charakter miejscowości; przytaczamy ustępy z tej korespondencyi.

„Przyjeżdżając tu miałam tak mylne wyobrażenia o Ameryce, że dotąd oczy otwieram z ciekawością a często z podziwieniem. Wprawdzie mogę sądzić o Ameryce tylko z Bostonu, który się dumnie tytułuje „Osią Stanów Zjednoczonych, jakoż co do intelligencyi, nauki a podobno nawet co do cnoty, zajmuje w nich najpierwsze miejsce.

„Nowy York, który mignął mi tylko w oczach lasem masztów i najprzepyszniejszą panoramą, gdzie tysiące emigrantów codziennie napływa, jest więcej zbliżony do miast europejskich. Zachód, dokąd najwięcej ochotników i przedsiębierców dąży po fortunę, gdzie ogromne miasta powstają w parę miesięcy, ma także zupełnie odrębny charakter.

Boston jest stosunkowo dość stary, bogaty z pradziadów, mniej rzutki w przedsiębierstwach, spokojny i rozważny.

Longfellow i żyjący Holmes, zdobyli temu miastu palmę poezyi; uniwersytet i szkoły Haward-College dla mężczyzn, Welesley College dla kobiet, dały mu sławę uczoności i dziś jeszcze młodzież z innych Stanów przybywa tu dla kształcenia się w naukach. Charakterystycznem jest zapytanie, przechowane dziś w przysłowiu, którem w Bostonie witają przybyszów: „Whot du yon know?" co umiesz? (W Nowym-Yorku pytają: wiele masz pieniędzy? a w Filadelfii: kto cię rodzi?)

Mnie ten Bostoński egzamin jakoś się powiódł, a raczej Opatrzność Boża czuwała, bo mimo że wszyscy mnie uprzedzali, iż trzeba tu czekać parę a nawet kilka lat, żeby się dać poznać i pracę znaleźć, ja przecież z noworocznych rachunków dowiedziałam się, że moje pendzle wymalowały już ośm tysięcy franków. Mówię, że dowiedziałam się o tem z rachunków, bo tylko w nich pozostał ślad tego kapitału. Naturalnie mam nadzieję, że dalsze lata lepsze się okażą, gdyż nie będę miała licznych ekstrawydatków, niezbędnych w pierwszym roku; a widząc jak innym rzeczywiście trudno tu na wierzch wypłynąć, nie mogę się skarżyć na mój debiut.

Boston, liczący zaledwie połowę ludności warszawskiej, jest rozleglejszym niż Paryż. Sama ulica Washington-Street ma podobno milę długości. Cały ruch handlowy, skupiony w środku miasta, domy tu sześciopiętrowe, a w nich są tylko sklepy i oddzielne pokoje o cenach bajecznych. Za niewielki pokój o jednem oknie, który mi służy za pracownię, płacę dwa tysiące franków na rok. Za dobre *Atelier*, których jest bardzo mało, żądają po dziesięć tysięcy!

Od ósmej rano, wszystko co żyje dąży do tego środka miasta, do biór, do sklepów do szkół. O szóstej wieczorem wszystko zamknięte, każdy wraca do swego *home* (domowego ogniska), każdy nawet robotnik (oprócz najbiedniejszych) ma swój dom, tylko dla siebie i to dom urządzony z komfortem amerykańskim: z kaloryferem, gazem, kąpielą i t. p. Bogatsi mają ogrody. Ślicznie wyglądają latem te domki w zieleni i kwiatach i w ciszy zupełnie wiejskiej. Żadnego tam nie widać sklepu ani restauracyi. Fiakrów wcale nie ma, a tramwaje kursują tylko po głównych ulicach. Wille te ciągną się na wszystkie strony, łącząc z Bostonem kilkanaście przedmieść i to czyni miasto tak rozległem.

Praca jest tu ogólna. Milionowi ludzie nie porzucają interesów; synowie ich pokończywszy szkoły, pracują w bankach, fabrykach i t. p. wyrabiają się sami, o własnych siłach, nie oglądając się na spadkowy majątek, który czasami pomijając najbliższych, idzie na filantropijne cele. Filantropia tu najrozumniejsza i najserdeczniejsza dla wszelkiej nędzy, liczne zakłady dobroczynne, prawie wszystkie z prywatnych funduszów, tak obmyślane i prowadzone, że czołem uderzyć przed nimi.

Wiele tu istnieje stowarzyszeń kobiecych. Jedno z nich wywozi partyami biedne dzieci do morza w lecie, każde dziecko zabierają na dwa tygodnie, poczem wykarmione, wykąpane, czysto obszyte, oddają rodzicom. Inne stowarzyszenie urządza zabawy dla biednych, inne spotyka na dworcu młode dziewczyny, przybywające tu same, często nieznając nikogo i umieszcza je w domach uczciwych. Oprócz tego kobiety pełnią obowiązki misyonarek, znam kilka tych pań, bardzo wykształconych i miłych, które chodzą nawracać niedowiarków, przemawiać do pijaków i t. p.

W szkółce niedzielnej (*Sunday Bibl Class*), młodziutkie, z najpierwszych domów panienki, wykładają Biblią dzieciom, a nawet dorastającym chłopcom, młodzież słucha ich z uszanowaniem, jakby ojców kościoła. Poważanie dla kobiet bardzo tu wielkie, we wszystkich klasach, ztąd zapewne swoboda większa niż u nas. Swoboda ta prawie bez granic, dziwną się z początku wydaje.

Co do sztuki? najokrąglejsze *zero* i nic więcej. Stosunkowo do ludności, więcej tu chyba malarzy jak w Paryżu; muzyków jeszcze więcej.

Z polaków spotkałam tylko pana Chomińskiego z Warszawy, który wyrabia illustracye i Stokowskiego (po amerykańsku *Kokoki*), który rysuje portrety z fotografii. Oprócz dwóch dobrych portrecistów, uczniów szkoły paryzkiej i monachijskiej, reszta albo niedouki z Europy, albo samouki tutejsze, chwalą Boga jak umieją, może Bóg im odpuści winy. Ci samouki zakładają szkoły, z których po kilku miesiącach wykładu, wychodzą nowi profesorowie nowych szkół artystycznych i tak bez końca. Obok mojej pracowni, w tymże samym domu, są trzy podobne szkoły, lekcye po franku za godzinę. Jedna z nich ogłaszała w dziennikach: *Lekcye specyalne dla profesorów.*

W takich warunkach, sztuka jak się zdaje, nigdy tu nie stanie wysoko, bo z jednej strony rozrasta się straszna lichota, a z drugiej strony lepsi artyści mają tylko jedyny cel przed sobą: zrobienia fortuny.

Uderzywszy się w piersi muszę wyznać, że ja tylko po to tu przywędrowałam, ale co mi ducha podnosi, to, że widzę postęp w mojej robocie. Uznanie jakie tu spotkałam, a czemu je spotkałam, to Panu Bogu wiadomo, nie mnie, otóż ta dobra opinia każe mi szanować mój podpis. Poczciwy mój profesor w Paryżu, Tony Robert Fleury, tyle mnie ongi naburczał, że dziś umiem sama sobie powiedzieć gorzką prawdę, a ponieważ pracuję dużo, więc i ręka się wprawia.

Publiczność tutejsza tyle się zna na sztuce, jak niedzielna publiczność w Salonie paryzkim. Cenią podpis znany i za to płacą. A mają tu przecież arcydzieła. W prywatnych domach widziałam obrazy Milet'ów, Diaz'ów, Fortuny'ch, a takie że oczu nie oderwać. Obok tych mistrzowskich dzieł, na honorowych miejscach umieszczone portrety z fotografii! Podobno w Nowym Yorku jest inaczej, radzono mi tam się przesiedlić, ale ponieważ mam tu robotę pewną, wolę na tem poprzestać i nie myślę opuszczać Bostonu.

DON GESUALDO.

NOWELLA

OUIDY.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

— Dobry wieczór wielebny ojcze — zaczął ujrzawszy don Gesualdo — czemuż mam przypisać zaszczyt waszych odwiedzin i czem mogę wam służyć?

Gesualdo spojrzał na niego ciekawie; dotychczas nie bardzo zwracał nań uwagę. Widział go nieraz przejeżdżającego konno lub w kościele na mszy, mówił z nim nawet kilka razy z okazyi uroczystych świąt, ale znał go bardzo mało. To też patrzał mu w oczy badawczo i rzekł bez żadnego wstępu:

— Przyszedłem pomówić z panem o Generosie Fè, żonie Tassa Tassila.

Młody człowiek milczał, lecz purpurowy rumieniec, który oblał jego policzki a nawet czoło i szyję dowodził jasno, że wspomniana osoba bynajmniej obojętną mu nie była.

— Ona pana kocha! — dodał ksiądz.

Falco uczynił ruch jakiś, ale nie można było wiedzieć czy chce zaprzeczyć lub przywtórzyć.

— Ona cię kocha! — powtórzył Gesualdo.

Falco uśmiechnął się z zadowoleniem, uszczęśliwiony z odniesionego zwycięztwa. Lecz szczery i namiętny zarazem nie potrafił ukryć swych myśli.

— Nie tak jednak jak ja ją kocham — rzekł z uniesieniem, nie uważając kto go słucha.

Gesualdo zmarszczył brwi groźnie.

— Przecież ona jest żoną innego — odparł surowym głosem.

Falco wzruszył ramionami, w jego mniemaniu nie było to żadną przeszkodą do miłości.

— Jak się to wszystko skończy? — zapytał znów ksiądz.

Zakochany uśmiechnął się.

— Kwestye takie kończą się zwykle tak lub owak — rzekł obojętnie.

Gesualdo cofnął się krokiem w tył, jakby go coś ukłuło boleśnie.

— Przyszedłem zachęcić pana, abyś wyjechał z Marca.

Młody człowiek spojrzał na niego z podziwieniem a pogardliwy uśmiech przebiegł mu po ustach.

— Wielebny ojcze — rzekł niecierpliwie — nikt nie przeczy, że masz prawo strzeżenia dusz naszych, ale nic więcej... Czy przysłał cię Tassilo, czy też ona? — dodał z podejrzliwością.

— Nikt mnie nie przysłał.

— Dlaczegóż więc?

— Dlatego, że jak nie odjedziesz, stanie się nieszczęście, zbrodnia może. Tassilo nie jest człowiekiem, któryby dobrowolnie ustąpił komuś. Ja znam Generosę od lat dziecinnych, chowaliśmy się razem w Bocca d'Arno; Generosa ma charakter gwałtowny, lecz wrażenia szybko się u niej zacierają, skoro wyjedziesz, zapomni cię łatwo. Tassilo jest surowy, lecz obsypuje ją wszystkiem i ma do niej prawo, dla niej był zawsze dobrym i wspaniałomyślnym. Ty jesteś tutaj obcym, pomyśl, że zwichniesz jej całe życie; z łatwością spotkasz gdzieindziej inną miłość, która ci tę sowicie wynagrodzi... Dlaczego niechcesz się oddalić? Gdybyś kochał ją prawdziwie nie wahałbyś się w wyborze...

Falco zaczął się śmiać.

— Kochany don Gesualdo, jesteś świętym człowiekiem, ale nic a nic nie rozumiesz miłości.

Gesualdo zadrżał, dziś już drugi raz przemawiano do niego w ten sposób.

— Czy to zwie się miłością? — spytał po chwili milczenia — czy ty ją kochasz, jeżeli narażasz ją na to, że mąż może ją zabić? Powtarzam ci raz jeszcze nie ścierpi swojej niesławy.

— A któż się troszczy o to jak postąpi Tassilo? — zawołał młodzieniec gwałtownie. — Jeżeli

jej choć włos z głowy spadnie, on umrze okrutną śmiercią.

— To wszystko słowa, nic więcej. Nie możesz wynagrodzić występku przez występek i nie potrafiłbyś obronić kobiety przed słuszną zemstą męża. Jest tylko jeden środek ocalenia jej od niebezpieczeństwa, a tym jest oddalenie.

— Skoro ten dom poruszy się z posad i przesunie się dalej to i ja z nim, ale pierwej ani myślę! Oddalcie się! — dodał ze wzrastającym ciągle gniewem. — Chcecie abym jak pies łasił się przed Tassilem a ją zostawił samą na pastwę jego srogości, chcecie aby kobieta przeklinała mnie jak nikczemnego tchórza? Mam się oddalić, skoro życie moje, dusza moja, światło mych oczu jest w Marca?... Wybaczcie don Gesualdo, ale rada wasza to istne szaleństwo. Doprawdy nie jestem już panem siebie, sam nie wiem co mówię.

— Nie wierzysz więc w poczucie obowiązku?

— Wierzę w poczucie obowiązku uczciwego kochanka, odparł Falco z uniesieniem, a tenże sam obowiązek nakazuje czynić to wszystko co sobie życzy kobieta ukochana. Los związał ją z nędznikiem, jest nieszczęśliwą i nie ma nawet dzieci, któreby ją pocieszyć mogły. Ona jest jak piękny kwiat zamknięty w piwnicy, ona mnie kocha a ty każesz mi odjeżdżać! Don Gesualdo zajmij się lepiej sprawami kościoła a nie mieszaj się do miłości innych. Czy ty możesz wyrokować w tym względzie? Przebacz mi moją niedelikatność, lecz raz jeszcze powtarzam, żeś świątobliwym księdzem ale ludzi nie znasz zupełnie.

— W istocie, masz słuszność — odparł łagodnie don Gesualdo.

Odwaga opuściła go zupełnie, czuł się upokorzony swoją nieświadomością. Ten człowiek, prawie w równym z nim wieku, ale tak pełen życia, namiętności i energii, tak dumny swą miłością, że bądź co bądź nie chciał jej się wyrzec, imponował mu siłą i potęgą uczucia, którego doniosłości nawet nie rozumiał. Podziw ten wydał mu się również grzechem.

Przyszedł tu aby napominać i nawracać zakochanego młodzieńca a stał przed nim onieśmielony i drżący jak dziecię. Wobec tej potęgi życiowych namiętności, własne jego słowa wydały mu się czczą łupiną. Ci ludzie kochali się i niedbali o nic więcej na świecie.

I Gesualdo smutny i milczący przestąpił próg willi lekkiem zaledwie skinieniem głowy żegnając Falca.

II.

— Biedaczek! miał jak najlepsze chęci — pomyślał Falco patrząc na szczupłą postać księdza, który oddalał się w pośród morw i winorośli.

Młody człowiek chociaż uczęszczał do kościoła i posyłał kwiaty do przystrojenia ołtarzy, nie miał jednak zbyt wielkiego poszanowania w kwestyach religijnych. Jak wielu młodych Włochów, którzy nibyto odebrali jakiekolwiek wykształcenie, był dosyć pod tym względem obojętny i więcej skłonny do żartobliwego zapatrywania się na wszystko. Twierdził, że to dobre dla kobiet i starców.

Lecz odwiedziny don Gesualda sprawiły jednak na nim pewne wrażenie; powaga, szczerość i prostota księdza nakazywały poszanowanie; przytem sumienie mówiło mu, że ksiądz miał słuszność.

Tymczasem Gesualdo zmartwiony niepowodzeniem szedł zwolna samotną drożyną. Widział, że na to nic już nie poradzi. Czuł się bezbronnym w obec tej gwałtownej i występnej namiętności, tak jak niegdyś uczuł się bezsilnym w obec płonącego w la Marche lasu.

W księgach kościelnych miał mnóstwo rad na pokonanie grzechów cielesnych i uchronienie się przeciw pokusom szatana, ale czyż tą bronią mógł powstrzymać tę bezprawną i bezbożną miłość, która jak burza szumiała mu nad głową?

Smutny szedł brzegiem rzeki, ogarnęło go jakieś niewypowiedziane uczucie pustki i tęsknoty za czemś nieznanem.

Noc już zapadła, a on tak lubił wieczorne przechadzki. Cisza i spokój panowały dokoła, mrok otaczał swym cieniem wszystko co niekształtne i brzydkie, nie było widać zatem ani drzew nadłamanych, ani szczelin w pagórkach, ani obtartych boków u mułów i krwią nabiegłych oczu wołów, których woźnica batem zachęcał do roboty i przewracających się w piasku dzieci z niekształtnemi gardłami, które zowią „wole".

Noc, ta przyjaciołka snów i marzeń, ocieniała swym płaszczem wszystkie nędze tego świata i nawet zapyloną drogę czyniła podobną do srebrzystej wstęgi, wijącej się do tronu Boga.

Gesualdo z rozkoszą oddychał wonnem powietrzem pól i łąk i szedł zwolna pomiędzy brzoskwiniowemi drzewami, których gałęzie uginały się pod ciężarem owoców i snopami zbóż poustawianych wzdłuż drogi. Rzeczka zamieniła się teraz w mało znaczący strumień a jego wody połyskiwały jak srebro pod promieniami księżyca.

W pobliżu młyna ujrzał małą latarkę zawieszoną na sznurku nad wodą; miało to służyć na przynętę dla rybki.

Ze zmroku wyłaniały się silne mury młyna, zbudowanego w dawnych czasach; wielkie, ciemne koła spoczywały nieruchomie, w stajni słychać było rżenie mułów. Susza skazała młyn na bezczynność dopóty, dopóki burza jaka nie napędzi wody z gór. Młynarz ma czas rozmyślać nad swemi zmartwieniami, pomyślał don Gesualdo i zmieszał się, bo choć nigdy nie znał cierpień namiętności, trwożyły go one i przerażały zarazem.

Przechodząc koło nizkich, okratowanych okien młyna, ujrzał wnętrze izby oświetlonej lampą. Okna były otwarte a z wewnątrz dochodził odgłos swarliwej kłótni, przerywającej uroczystą ciszę nocy.

W pośrodku izby stała Generosa i z rękami podniesionemi w górę zdawała się ciskać przekleństwa. Pod potokiem tych słów ognistych, Tasso Tassilo pochylił głowę zgnębiony. Twarz jego, na którą padało światło lampy, szpecił wyraz bezsilnej złości.

Nie trzeba było nawet słyszeć słów, które mówiła Generosa, aby się domyśleć, że dręczyła go swoją miłością dla Falca Malegari.

Gesualdo był człowiekiem nieśmiałym i słabym lecz nie wahał się ani chwili i wszedł odważnie do izby.

— Milczcie, w imię Chrystusa! — rzekł czyniąc znak krzyża świętego.

Gniewliwe słowa zamarły na ustach młodej kobiety; młynarz zmarszczył brwi i cofnął się o kilka kroków.

— Tak to dotrzymujecie przysięgi jaką złożyliście Bogu i sobie nawzajem? — dodał don Gesualdo.

Rumieniec wstydu okrył lica Generosy, a mąż nasunął kapelusz na oczy i wyszedł nie odrzekłszy ani słowa.

Zwycięztwo okazało się łatwiejsze niż ksiądz mógł to przypuszczać. „A jednak, na co się to zdało, rzekł sobie w duchu, zamilkli przez szacunek, a skoro się oddalę, kłótnia rozpocznie się na nowo. Cud chyba zmienić może ich dusze, ja tylko na chwilę powstrzymałem języki."

I w istocie jak utrwalić pokój między osobami, z których jedna pałała dziką, niepohamowaną zemstą a druga namiętną, gwałtowną i nienasyconą miłością?

Gesualdo zamknął okna, aby inni przechodnie nie widzieli co się dzieje wewnątrz, poczem usiłował uspokoić swoją towarzyszkę lat dziecinnych, której drżące łono, rozpalone policzki i oczy w których gniew osuszał łzy, dowodziły aż nadto jasno, że burza tylko przycichła na chwilę.

Przemawiał do niej z całą mądrością, którą zaczerpnął z ksiąg i rad ojców Kościoła, powodowany szczerą i serdeczną chęcią ocalenia Generosy nawet wbrew jej woli.

Przekonywał ją, że ona najbardziej zawiniła i ukazywał jej niebezpieczeństwo grożące jej co chwila jeśliby szła dalej tą fałszywą drogą. Lecz walczył napróżno, kobieta posiadała charakter gwałtowny i nieoględny, była egoistką w najwyższem tego słowa znaczeniu i nie widziała nic po za obrębem swych pragnień i namiętności.

Skoro zaczął roztrząsać jej sumienie, mówiąc o niebezpieczeństwie które ściągała na głowę ukochanego, o mało nie parsknęła śmiechem.

— Nie byłby godzien miłości — rzekła wyniośle — gdyby wszelkie niebezpieczeństwa na jakie się dla mnie naraża, nie były dlań drogiemi.

Gesualdo spojrzał jej prosto w oczy.

— Czy wiesz, że to musi się skończyć śmiercią jednego z tych ludzi — rzekł — a teraz śmiesz może powtórzyć raz jeszcze, że cię to nic nie obchodzi?

— Cokolwiek się stanie, to przecież nie moja w tem wina — odparła Generosa.

W słowach tych malowała się dokładnie próżność kobieca, która chełpi się krwią przelaną za siebie, tak jak to czyni tygrysica a nawet gazella.

Ksiądz siedział z godzinę wyczerpując wszystkie argumenta na nawrócenie zbłąkanej i przykutej do grzechu duszy, lecz widział, że słowa jego odbijają się o martwą opokę.

Kobieta wdzięczną mu była jak przyjacielowi śpieszącemu z dobrą radą i zarazem strwożoną wyobrażeniem władzy jaką uosabiał; lecz nienawidziła męża a uwielbiała kochanka i Gesualdo nie mógł ją oderwać od tych sprzecznych namiętności.

Wyszedł nareszcie niespokojny i zasmucony swoją bezsilnością. Wymógł na niej tylko przyrzeczenie, że nie będzie dręczyć Tassila, więcej nad to nie obiecywała nawet.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY

NA RZECZ OSAD ROLNYCH.

Odczyt D-ra Rostafińskiego zamiłowanego botanika, przedstawiającego zawsze swój przedmiot ze strony poetycznej, ogólne wywołał licznego grona słuchaczy zadowolenie. Szanowny Prelegent mówił o Palmach stanowiących główne rzec można bogactwo krajów podzwrotnikowych, których gatunków jest około tysiąca. Podań o ich powstaniu mnóstwo.

Bóg, jedno z nich powiada, stworzył Palmę wraz z człowiekiem; inne twierdzi, że Palma wyszła z głowy człowieka jak Minerwa z głowy Jowisza, że jakiś ptak szybując pod niebiosami upuścił piórko i to spadając utkwiło w ziemi i wyrosło w Palmę. Najpiękniejszym jednak wdziękiem naiwności odznacza się podanie, jakoby Matka Bozka w ucieczce do Egiptu skosztowała po raz pierwszy daktyla i zawołała: O! jaki to smaczny owoc! Otóż z wykrzyknika tego, to *O!* pozostało na wierzchu daktyla w kształcie małego kółka.

Palma daktylowa w stanie dzikim rośnie w Hiszpanii także, ale owoców nie wydaje. Powszechna w Arabii i Afryce odznacza się nadzwyczajną obfitością wydawanego owocu, tak dalece, że z jednej morgi zebrać go można do dziesięciu tysięcy centnarów.

Inna palma zwana karłowatą, rośnie w Hiszpanii i na wyspie Sycylii, z której liściowe nerwy odpowiednio oczyszczone, używane są jako sztuczne włosie.

Na wybrzeżu Gwinei rośnie Palma olejna, posiadająca owoce oleiste, z których po wyciśnięciu otrzymana ciecz przedstawia się jako masa gęsta, koloru oranżowego i z wonią fijołków. Handel tym olejem bardzo jest rozwinięty, do samej Europy w lepszym gatunku dochodzi go rocznie za 50 milionów franków a z gorszego gatunku za 44 miliony franków.

Następnie Prelegent opisał Palmę kokosową, z której otrzymuje się mleko palmowe słodkie i przezroczyste mdłego cokolwiek smaku dla Europejczyka, przerabiane na wino i cukier. Z powłoki włóknistej tego orzecha, obecnie wydobywają substancyą nazwaną Celluloidem używaną do wyrobów sztucznych zębów, co jednak z powodów, iż takowe szkodliwie działały na naturalne, zaniechane zostało. Dziś Celluloid używany jest do wyrabiania pancerzy dla wojennych okrętów

Z Palmy borasowej, której owoc przypomina smak marchwi z zapachem ananasowym, krajowcy wydobywają: wino, cukier, olej, wreszcie alkohol stanowiący wyborny arak i materyał do pisania zdatny jak papier w postaci szerokich pasków.

Na archipelagu malajskim rośnie Palma jednoroczna, wydająca znane wszystkim Sago, wyrabiane z materyi mączystej we wnętrzu pnia znajdującej się, której jedno drzewo wydaje do dziewięćset funtów.

W końcu swego wykładu Prelegent potrącił o Palmy wydające betel żuty przez Indusów, o Palmę służącą do wyrobu przedmiotów naśladujących kość słoniową, a w zakończeniu opowiedział o Palmie związanem z nazwiskiem najznakomitszego naszego astronoma, zwanej Copernitia cerifera, wydającej oprócz wina, miodu, cukru i t. p. jeszcze wosk.

Za zajmujący ten wykład zadowoleni słuchacze, podziękowali Szanownemu doktorowi gorącym oklaskiem. *J. G.*

Pomnikomania.

Jacy wy jesteście bogaci, jacy bogaci! Miliony łaknące światła, tysiące zgłodniałe chleba i wyciągające ręce do pracy, setki wreszcie niewypełnionych a ważnych celów i reform, wszystko to, do nas nie daje się bynajmniej stosować. Gdzieś tam na świecie, panuje podobno bieda, my jednak nie znamy jej nawet; spełniwszy też wszystkie ważniejsze zadania, ukończywszy pracę u podstaw, dziś myślimy jedynie o wzbogaceniu artystycznych skarbów narodu, o uwiecznieniu za pomocą arcydzieł dłuta, nietylko tych, którzy duchem po nad ogół wyrośli, ale zarazem własnej naszej dla nich wdzięczności.

Nie wierzycie? Otóż na dowód pozwolę sobie przytoczyć, ile to pomników mamy stawiać w tej chwili. Najgłośniejszy dla Mickiewicza, później dla Krasińskiego, Sarbiewskiego, Kraszewskiego, Baudouina, Kochanowskiego i t. d.

Wyliczając szereg ten długi, czytając w pismach brukowych nowe ciągle projekty i nowe nawoływania do składek, nie możemy pojąć, do czego prowadzi podobne rozstrzelanie sił i szarpanie się na wsze strony tam, gdzie dla jednego wieszcza ukochanego nie możemy po latach tylu, na stosowny zdobyć się monument. Nie myślę tu bynajmniej dowodzić, by ludzie ci, których duch niejednokrotnie podnosił nas na wyżyny, nie zasługiwali na pamięć i wdzięczność z naszej strony. Przeciwnie, cześć im niesiemy, lecz cześć ta właśnie, nie powinnaby w chwili ogólnego ubóstwa, kazać trwonić zasobów, któremi możnaby w inny sposób stokroć stosowniej uczcić ich pamięć. Pomnik naprzykład dla ks. Baudouina, założyciela Szpitala Dzieciątka Jezus i ojca sierot, pomnik z kamienia, wtedy gdy na kamieniach także, ale brukowych, lodem ściętych i śniegiem pokrytych, umiera setki dzieci porzuconych, bezdomnych, a czekających litościwej ręki, któraby je przygarnęła, pomnik w takich warunkach nie może stanowić najwyższego hołdu, dla zacnego kapłana, który nieszczęsnym tym i wydziedziczonym chciał przedewszystkiem życie zapewnić i osłodzić. Przeczytawszy w Kuryerach zawsze zapełnioną rubrykę o niemowlętach znajdowanych w bramach, lub na ulicy, przekonamy się z łatwością, iż najlepszem uczczeniem pamięci takiego jak ks. Baudouin człowieka, będzie wzniesienie nowego Domu Podrzutków, bo ten tylko ratując od śmierci ukochane przez niego sieroty, odpowie szlachetnej jego myśli i pragnieniom.

Co do innych, trudno zaprzeczyć, że instytucye naukowe i szerzące oświatę, stokroć by silniej imię ich utrwaliły w sercach narodu, nad głaz zimny. Zanadto jesteśmy ubodzy pod każdym względem by czas nasz i zasoby w kararyjski zakuwać marmur; pomniki te bowiem, odbijając od biedy ogólnej, mogłyby wyglądać, jak misternie cyzelowany naszyjnik na zgłodniałym i na pół obnażonym człowieku.

Zresztą, uznając, iż wspaniałe dzieło sztuki jest z artystycznego punktu widzenia najidealniejszym sposobem oddania czci takim jak Mickiewicz wieszczom, nie powstajemy w zasadzie przeciwko pomnikom, a tylko przeciwko ilości ich proponowanej naraz. Po co mnożyć trudności i próżne usiłowania, kiedy pomimo tylu konkursów, komitetów i narad, genialny wieszcz nasz nie doczekał się dotąd stosownego uczczenia. Wprawdzie sprawa zdawała się na dobrą wchodzić drogę, na ostatnim bowiem turnieju artystycznym w Krakowie, przyznano pierwszą nagrodę projektowi Cypryana Godebskiego, lecz dziś przeciw temu już podnoszą się głosy. Autor objaśnia, iż postać niewieścia wieńcząca poetę, a tem samem wyżej od niego stojąca, przedstawia Ojczyznę, kładącą laur na skronie największego ze swych wieszczów, Ojczyznę, którą artysta umyślnie wyniósł po nad Adama. Przeciwnicy podnieśli zaraz, iż wobec takich warunków, Mickiewicz sam maleje, a przygnieciony tą złocistą postacią, będzie wyglądał jak święty pod kopułą. Jeszcze więc projekt nie został poznanym, a już ma przeciwników zniechęcających do niego ogół, ten ogół, który złożywszy w dowód czci swej pieniądze, chce koniecznie by posąg dorównał nietylko żądaniom artystycznym, ale i jego uczuciom.

Ztąd też uczcić pamięć Mickiewicza pomnikiem, któryby wszystkich zadowolnił i wszelkim odpowiedział wymaganiom, istnem jest niepodobieństwem, nigdy bowiem pomysły w marmur zakute nie zdołają uplastycznić całokształtu naszych uczuć, niesionych pamięci wieszcza narodowego, nie potrafią uosobić idei i postaci w poematach jego zawartych. Pomnik będzie zawsze dziełem jednego, potężnego może, ale pojedyńczego indywidualizmu, tu zaś o uczucia narodu całego chodzi. Gdyby też nie komitety, konkursy, wrzawa i rozgłos nadane sprawie tej, a niedające cofnąć projektu pomnika, sądzę, iż składając hołd w imieniu ogółu, należało ogół do niego dopuścić. Wyjątkowe geniusze wymagają wyjątkowych oznak czci i szacunku; kopiec olbrzymi, mogiła dziesiątkami tysięcy rąk usypana, mogiła do której każdy pielgrzym śpieszyłby ziemi dorzucić, a na szczycie tej pamiątki, wyniosłej i niezwykłej, jak sława poety, a jak ona pełnej poważnej prostoty i majestatu, głaz wielki z napisem „Rodacy Adamowi", oto jedyny pomnik, który okazałby, że nie garstka inteligencyi, lecz naród cały hołd Mickiewiczowi niesie. Mogiły Wandy, Krakusa, Kościuszki wieki przetrwają, podczas kiedy marmur sto razy może uledz zniszczeniu. Dziś, gdy zwłoki Mickiewicza mają wrócić nareszcie pod niebo ojczyste, jakżeby dobrze było, by przyjmująca je na wieki ziemia rodzinna, dumna z prochów tych drogich, urosła nad nimi w mogiłę potężną, ku niebu strzelającą. Z czasem zaś, gdy pieniądze złożone dziś na bronzy i marmury, zużytoby w celu wprowadzenia poezyi Mickiewicza do każdej chaty, duch wieszcza, widząc mieszkańców tych strzech słomianych, niosących mu z miłością garść ziemi, którą tak kochał, wdzięczniejszym by nam był za światło siane wśród młodszej braci, niż za misterne rzeźby i posągi. *K. A.*

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Ostatnie dni zeszłego tygodnia, gromem boleści dotknęły dwór panujący w Niemczech. Dnia 9 b. m. o godzinie w pół do dziewiątej rano zakończył żywot swój doczesny w Berlinie cesarz Wilchelm pierwszy.

Kraj cały przejęty szczerym smutkiem z poniesionej straty okrył się kirem żałoby z tym większym żalem, że zmarły Monarcha starzec przeszło dziewięćdziesięcioletni, ostatni rok swej pielgrzymki ziemskiej miał zatruty chorobą pierworodnego swego syna, która coraz bardziej wzrastając tak dręczyła nieszczęśliwego ojca, że wśród ciszy nocnej płakał jak dziecko domagając się wyjazdu do San-Remo, miejsca pobytu swego następcy.

Czyjesz serce nie podzieli cierpienia bolejącego ojca w tak późnej starości, w samych progach śmierci wiodących do mogiły?

Wola Boża niepojęta! pod jej wyrokiem wszystko niknie i ugina się ustępując rzeczywistości wedle nauki Chrystusa: z prochu powstałeś w proch się obrócisz!

Straszny huragan nawiedził w tych dniach miasteczko Vernon w stanie Illinois.

W przeciągu kilku minut, dwie trzecie tego miasteczka zrównane zostały z ziemią.

W dniu katastrofy przez chwilę zaczęło się błyskać, potem padał deszcz ulewny, a wśród tego słyszéć się dał nagle dziwny jakiś łoskot, a równocześnie zawisła nad miastem gęsta, czarna chmura i zapanowała zupełna ciemność.

Gdy chmura ta przeszła, wyjaśniło się niebo i ci, którzy pozostali przy życiu, spostrzegli straszne spustoszenie, jakie krótka ta burza wyrządziła.

Huragan przewrócił kilkaset domów, które pogrzebały w swych gruzach mnóstwo ludzi.

Zachodnia część miasta, została nietkniętą, cała zaś dzielnica handlowa, nosząca nazwę „Square", uległa zupełnemu zniszczeniu.

W gruzach wszczął się ogień i zaczął szybko rozszerzać się po mieście, powiększając jeszcze ogólny popłoch.

Wszędzie rozlegały się narzekania, płacze i jęki boleści.

Oba kościoły leżały w gruzach, gmach szkolny i hotel, znikły zupełnie z powierzchni, a z długiego szeregu sklepów, ciągnących się po jednej stronie skweru, również nic nie pozostało.

Miasto wyglądało wówczas jak po trzęsieniu ziemi.

Nikt nie mógł ratować rannych, ponieważ przedewszystkiem należało stłumić groźny pożar, co wymagało kilku godzin czasu.

O ile dotąd wiadomo, liczba zabitych wynosi 41, rannych zaś kilkaset.

Rozdzierające sceny odgrywały się tej nocy.

Mężczyzni, kobiety i dzieci wzięli się do odkopywania gruzów, aby wyciągnąć zagrzebane w nich ofiary.

Wielu jednak myślało tylko o sobie; przerażeni otaczającemi ich ze wszech stron płomieniami, uciekali w szalonym popłochu po ciałach zabitych i rannych.

W obec tego panicznego strachu, należało się obawiać, że nieszczęśliwi, przywaleni gruzem, zginą w ogniu, który stopniowo zbliżał się do nich.

Wreszcie znaleźli się przytomniejsi, którzy trzymając w ręku pochodnie i latarnie, zaczęli przeszukiwać rumowiska, zkąd dochodziły jęki i okrzyki błagalne.

Zabici i ranni, byli tak po większej części zeszpeceni, że nie można było rozpoznać ich rysów.

Niektóre kamienice zostały formalnie zdmuchnięte, jak domy karciane.

Wiele rodzin zginęło pod własnym dachem.

O rzeczach polskich w literaturze ruskiej. Ruskij Kuryer drukuje przekład nowelki p. t. Maciej Mazur.

W świeżo ukończonem dziele Włodzimierza Stasowa, pod tytułem: „Ornamentacya Słowiańska i Wschodnia w zabytkach rękopiśmiennych". Petersburg 1887 roku, znajdujemy wiadomości o nieznanych dotąd zabytkach rękopiśmiennych polskich, przechowanych obecnie w bibliotece Cesarskiej w Petersburgu. Są to: 1) Missale z r. 1264—1269, pochodzące z klasztoru św. Krzyża na Łysej Górze; 2) Psałterz z XIV w., pisany w Krakowie; 3) Reguły klasztoru OO. Dominikanów w Sandomierzu z XIV w.; 4) Antyfonarz z XIV w.; 5) Antyfonarz z XVw.; 6) Wokabularz z klasztoru św. Krzyża z XV w.; 7) Missale z 1455—1464 roku, ofiarowane klasztorowi OO. Bożogrobców w Miechowie, przez Franciszka Sartoriusa, kanonika krakowskiego; 8) Missale gnieźnieńskie z roku 1482; 9) Graduale z roku 1493, pisane przez Prokopa Hoberka dla OO. Augustyanów w Krakowie; 10) Missale krakowskie z herbem Gamratów; 11) Reguły klasztoru św. Ducha w Krakowie z XVI wieku; 12) Graduale z roku 1528, pisane i malowane przez brata Jana z klasztoru OO. Augustyanów w Krakowie; 13) Graduale z roku 1620, pisane przez Mateusza ze Żnina. Rękopisy te zdobne w cenne malowidła, pochodzą prawdopodobnie z biblioteki warszawskiej Załuskich. — W. A. Ulanickij wydał obecnie w Moskwie dzieło: „Materyały do historyi wzajemnych stosunków Polski, Rossyi, Wołoszczyzny i Turcyi w wieku XV i XVI, zaczerpnięte z archiwum państwowego w Moskwie.

Nowe narzędzie. Pewien ziemianin a zarazem inżynier, zbudował nowy bukownik, t. j. nowe narzędzie rolnicze do praktycznego omłotu koniczyny.

Otóż według obliczeń wynalazcy, rachując oszczędność na robociźnie i wartości ziarna, które niepozostanie w plewach, lecz będzie wymłócone, korzyść jakiej spodziewać się można z tego nowego przyrządu, wyniesie około rs. 13 na korcu czyli około 30 proc. wartości koniczyny.

Nadto, według zapewnienia wynalazcy, to samo narzędzie może nietylko być użytem do bukowania ale może wykonywać jeszcze takie roboty, jak: przecieranie nasienia marchwi, rozdrabnianie okopowizny i makuch na karm dla inwentarzy, śrutowanie ziarna na obroki, wreszcie rozdrabianie mięsa dla drobiu.

Pożądanem byłoby, ażeby zamierzone próby publiczne z tem nowem narzędziem rolniczem odbyły się w prędkim czasie.

W pracowni jednego z jubilerów okazywano nam dwa tuziny biletów wizytowych, zamówionych przez p. G. obywatela ziemskiego, dla swojej narzeczonej.

Na cienkich srebrnych blaszkach znajduje się imię i nazwisko właścicielki, otoczone rytowanemi ornamentacyami.

Tak nazwisko, jak i ozdoby, są wyzłacane galwanicznie.

Drobny ten figiel kosztuje nabywcę 120 rs.

Jak na dzisiejsze ciężkie czasy jest to wydatek dość znaczny i chyba... nieprodukcyjny.

Gazeciarka. Nowy oryginalny sposób zarobkowania wynaleziony został w Ameryce. W Bostonie osiedliła się pewna kobieta, która codziennie studyuje wszystkie gazety miejscowe od początku do końca i robi z nich wyciągi o najważniejszych politycznych, socyalnych i lokalnych kwestyach. Popołudniu codzień najbogatsze i najbardziej poważane mieszkanki Bostonu, zbierają się w specyalnym salonie, gdzie „gazeciarka" wygłasza odczyt o tem, co z dzienników zebrała.

W ten sposób panie zaopatrują się w materyał do rozmowy na wieczory i obiady, na rozprawy z poważnymi politykami, czy też ze znakomitymi uczonymi i tanim kosztem uchodzą za osoby wykształcone i interesujące się sprawami dnia.

Gazeciarka jest już dzisiaj osobą powszechnie w Bostonie znaną i robi świetne interesa.

Na wodach leczniczych w ogrodzie Saskim, pan X. ckliwo ugrzeczniony krygując się mówi do znajomej sobie pani:

— Prześlicznie mi pani wygląda, mam więc nadzieję, że i uroczy pani żołądeczek, przy dalszem użyciu wód mineralnych, powróci do dawnej miłej wesołości.

* * *

Ciekawy zakład. Kijewlanin podaje zabawną anegdotkę. Pomiędzy trzema dowcipnisiami stanął zakład o to, kto zrobi coś najbardziej oryginalnego i śmiesznego. Pierwszy z konkurentów ograniczył się tylko na trzykrotnem przekoziołkowaniu się po śniegu bez ubrania. Drugi wzbudził śmiech ogólny, gdy w licznem towarzystwie trzykrotnie ucałował swoją świekrę. Zakład jednak wygrał trzeci z konkurujących. Oświadczył on, że za chwilę przyjdzie z towarzyszem, aby zjeść z nim całą ćwierć kartofli. Po chwili wrócił z... z wieprzem, który pożarł sam ową ćwierć kartofli, nie pozostawiając nic dla swego towarzysza.

* * *

— Czy pan w domu?

— Nie panie, w kąpieli — odpowiada zaspany lokaj.

— To poczekam na niego w gabinecie.

W dwie godziny później.

— Cóż ten twój pan tak długo bawi? Czy już nie wróci wcale?

— Owszem wróci, proszę pana.

— Ale kiedy?

— Za dwa tygodnie.

— Jakto?

— A tak, panie, za dwa tygodnie, bo wczoraj był list z tem doniesieniem z Ostendy.

* * *

Jednemu z kupców win rozmaitych, urodził się syn dawno oczekiwany. Sklep więc zamknął a na drzwiach wchodowych od ulicy przylepił zawiadomienie następujące:

„Dziś sklep zamknięty z powodu chrzcin... do czego ktoś z dowcipnisiów po kropkach dopisał: „w piwnicy.

* * *

Dziesięcioro przykazania ojcowskiego:

1. Nigdy synu nie pij z kwarty,
2. Niech twym wrogiem będą karty,
3. Żyj nie szumnie bez hałasu,
4. Do domu wracaj zawczasu,
5. Nie tańcz mi nigdy do zbytku,
6. W rozmowach szukaj pożytku,
7. Zwiedzaj dobre widowiska,
8. Nigdy dziewcząt nie bądź z blizka,
9. A unikniesz złego świata,
10. O to prosi cię twój tata.

RÓŻNE MYŚLI.

Głupiec na przyjemności rzuca się z zapałem, mędrzec tylko miód zbiera, kwiatu nie niwecząc.

Delile.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Jadwidze. Wszystkie dodatki dołączane do numerów Tygodnika Mód i Powieści, są układane w Paryżu i jednocześnie prawie u nas odbijane. Rozchodząc się po całym świecie i prawie we wszystkich językach w ilości przeszło 300,000 prenumeratorów, odpowiadają widocznie ogólnej wszystkich potrzebie, bo inaczej nie cieszyłyby się tak wielkiem powodzeniem. Wreszcie wartość ich powszechnie ceniona, jakiej żadne inne nie posiadają.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki wyszedł 3 zeszyt Historyi Cywilizacyi Ch. Seignobos'a z 200 drzeworytami w tekście. Przełożył z najnowszego wydania francuzkiego Adolf Dygasiński. Cena za całość składającą się z 5 zeszytów rs. 4 z przesyłką pocztową rs. 5.

Do życia, komedya w jednym akcie, Jarosława Vrchlickiego, przełożył Zenon Przesmycki.

Poezye J. I. Kraszewskiego. Nakład księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie.

Rodzina Bucholców, szkice z życia berlińskiego przez Juljusza Stindego, przełożył z niemieckiego Juljusz Starkel. Nakład księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie.

Rozmowy nauczyciela z gospodarzami o powinnościach rodziców. Napisał Malinowski, wydała Redakcya Zorzy.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 11 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z Nauczycielem. — W kniei leśnej (drzeworyt). — Tajemniczy głos (wiersz). — Walka olbrzyma. — Jałmużna (z drzeworytem). — Wodospad Lis w Pirenejach (z drzeworytem). — Opowiadanie prawdziwe. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Pobyt Olesia na wsi. — Straszydło (wiersz). — Z opowiadania podróżnika (z drzeworytem). — Otrzyj łezki (wiersz). — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☛ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

OD REDAKCYI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, przypominamy zatem Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. Na prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5; rocznie rs. 10.

PRZYJACIEL DZIECI

Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,

wychodzić będzie i w kwartale przyszłym pod temi samemi co dotąd warunkami.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie Kwartalnie rs. **1**. Na prowincyi z przesyłką pocztową: Kwartalnie rs. **1** kop. **25**. Półrocznie rs. **2** kop. **50**. Rocznie rs. **5**.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Chmielna Nr. 26 nowy.

TREŚĆ: Poezye Maryi Konopnickiej.—Dzieweczce (wiersz). — Nie utonął, nowella, napisała Zbigniewa Zmorska (dalszy ciąg).—Kronika Paryzka.—Don Gesualdo, nowella Ouidy. — Odczyty. — Pomnikomania. — Wiadomości z różnych stron. W Dodatku: Sprawa familijna (ark. 14).

Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Марта 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy)

Dodatek.